



Paweł Kornew "Czarne Południe" - Fragment II

Fahrenheit Crew

Fragment II

Nie czekając na zgodę Zębacza, usiadłem przy upatrzonym przez Sielina stoliku, zdjąłem uszankę i zacząłem rozpinać kufajkę. Moi konwojenci łaskawie wybrali odległy kąt. Postanowili nie mieszać się w nasze sprawy? Bardzo z ich strony rozsądnie. A może po prostu chcieli się znaleźć jak najbliżej kominka? W każdym razie mogliśmy spokojnie pogadać.

- Masz rację, nie wierzę - wyrwałem Denisowi menu.

- I niesłusznie, bo często zachodzę do żony na posiłki - uśmiechnął się Sielin. - A w kartę nie patrz, zaraz przyniosą wszystko, co trzeba. Coś do picia?

- Ktoż by wątpił? - westchnąłem. - A do picia tak.

Herbatę. Czarną. Z cukrem.

- Tamaro Pietrowna, dla nas jeszcze dwie herbaty - poprosił Denis grubą kobietę w białym fartuchu, która właśnie postawiła na stoliku plastikową tacę z półmiskiem pierogów, kilkoma kromkami czarnego chleba i dwoma aluminiowymi widelcami.

- Który z tych chłopaków wykapował? - zapytałem nabijając na widelec pierożek.

- Rusz głową - Denis nic a nic się nie zmieszał. - Kiepsko wyglądasz, tak na marginesie.

- Coś zjadłem paskudnego. - Rzuciłem mu złe spojrzenie.

- Cholera, tyle razy ostrzegałem cię, żebyś nie trzepał jęzorem byle czego i byle gdzie.

- Żebyś jeszcze zawnocował ostrzegł przed zagrożeniem domięśniowych zastrzyków. - Żułem pierożek nie czując smaku. - Nie, ale za to mnie wystawiłeś, oj wystawiłeś...

- Wystawiłem? - Sielin całym sobą wyrażał oburzenie. - Przecież uratowaliśmy cię od pewnej śmierci, między innymi. Kiedy nam zlecono takie zadanie, myślałem, że będziesz wdzięczny po grób. Kto mógł wiedzieć, że masz takie... skomplikowane sprawy z...

- Z waszymi protektorami?

- Można i tak to nazwać - Denis nie zamierzał się wypierać.

- Dzięki - powiedziałem do kelnerki, która przyniosła herbatę i od razu upiłem gorącego, ale niestety niezbyt mocno zaparzonego wywaru.

- Nie ma za co. - Denis odsunął swoją szklanekę w stronę talerza z chlebem.

- Tobie rzeczywiście nie mam za co - zgodziłem się tym razem. - Słyszałeś o antysilinie?

- Nie - odparł po krótkim namyśle. - Dowiedzieć się?

- Popytaj. - Wpatrzyłem się w szklanekę z herbatą. - Powiedz mi tylko jeszcze, jesteś zorientowany w tym, co się dzieje?

- Fifty-fifty - odparł ostrożnie Denis. - Możesz wierzyć lub nie, ale nikt nie przypuszczał, że sprawy przybiorą taki obrót. I zanim cię kazali odbić, żadnych przypuszczeń nie było.

- Dobra, zapomnij. Dziękuję, żeście mnie odbili. A czym się w ogóle to wszystko zakończyło? Bo ci tutaj milczą jak zakłeci...

- Chodzi ci o bunt? - poweselał Denis, któremu najwyraźniej kamień spadł z serca. - Jeszcze przed świtem rozegnali odmieńców. I walkirie pomogły, i drużynnicy okazali się gotowi do akcji. No i normalnie byli uzbrojeni tylko bojownicy „Czarnego Stycznia”. Pozostali dostali co najwyżej myśliwskie strzelby, karabiny sks i Mosina z jakiegoś zapyziałego roku. To i rozpieprzyli wszystkich w diabły.

- Ci z Miasta nie zdążyli im pomóc?

- W tym czasie szturmowali bazę pograniczników. - Denis włożył do ust ostatni pierożek. - A teraz wszyscy się zastanawiają, co będzie dalej. Z Miastem strach teraz wchodzić w konflikt, ale pokojowo się tego na pewno nie załatwi.

- Dlaczego? - Dopiłem herbatę.

- Miastowi zażądali, aby uwolnić aresztowanych Chińczyków, tych, których podejrzewano o przynależność do Triady. Tylko że któryś z naszych się pośpieszył i wszystkich żółtków załatwili. A teraz gryzą paluchy po łokcie.

- Rozumiem. - Zamyśliłem się. - A chodzą jakieś słuchy, po co też siostrzyczki polazły do getta?

- Cała masa. - Denis machnął ręką. - Ale te słuchy są właśnie „jakieś”. Nikt nie potrafi powiedzieć nic konkretnego. Jedyne, co wiem na pewno, to że Rada Miejska na dniach wyda rozporządzenie, żeby walkiriom oddać na własność połowę getta. A druga pozostanie pod kontrolą.

- Co z Komuną?

- Wierchuszkę rozstrzelali, pozostałych rozgonili na cztery wiatry. Majątek postanowiono rozprzedać. Lokalizacja jest tam niezła, może znajdziemy też coś dla siebie.

- I Gromowa?

- Co Gromowa?

- Pytam, czy Gromowa też rozstrzelali?

- Nieco wcześniej niż pozostałych.

- Dobrze, dzięki za informację. - Spojrzałem na zaczynających się zbierać kompanów. - Jak rozumiem, ty stawiasz?

- Dobrze rozumiesz.

- A skoro już tak dobrze rozumiem, powiedz od razu, dlaczego mnie szukałeś?

- Hamlet mnie prosił. - Denis od razu spoważniał. - Po pierwsze, kazał przekazać, że nie ściągamy cię z haczyka. Nie w tej sytuacji. Po drugie, pytałeś go o jakiegoś jednookiego. Zebraliśmy o nim wiadomości, typ okazał się dość trudny. Robi interesy z bardzo dziwnymi ludźmi. Dalej nie szukaliśmy, bo tam wszystko coraz dziwniejsze i dziwniejsze. Jeśli cię to interesuje, mam tutaj adresik.

- Pozdrów Hamleta. - Wstałem, nieznacznie chowając do kieszeni zwiniętą kartkę. - A, jeszcze jedno, gdybyś miał możliwość, zabierz moje manatki od Kiryła.

- Nie ma sprawy. Gdzie je zawieźć?

- Do Kostnicy.

- Jasne, przekażę komu trzeba.

- Prawdziwy z ciebie przyjaciel. - Ucisnąłem mu rękę i poszedłem do wyjścia w ślad za Drugim i Sanem Sanyczem. Zębacz rozliczył się z kelnerką i też pośpieszył ku schodom.

- Okropne pierogi - poskarżył się na zewnątrz Drugi.

- Mam po nich zgarę.

- Nie wiem, nic takiego nie zauważyłem. - Nacisnąłem głębiej czapkę. - Sanie Sanyczu, nie strach tak zostawiać sań? Przecież mogą ukraść konika.

- E tam zaraz ukradną - woźnica beknął. - Co się z tym może stać? Komu potrzebne coś takiego?

W istocie rzeczy, stać się mogły różne rzeczy. Ale skoro chłop taki pewien, to znaczy, że jest przygotowany na taką okoliczność. Pewnie ma coś w rodzaju zakłęcia ochronnego.

Wlałem do sań i ziewnąłem szeroko. Nie miałem pojęcia, dlaczego Drugiemu nie podeszły pierogi. Według mnie były niczego sobie. Chociaż faktycznie, dla Sielina kuchnia mogła podać produkt innej jakości. Denisa traktują jak swego, a poza tym takim ludziom, jak on nie wciska się chłamu. Za drogo może to kosztować.

- Do Kostnicy? - Drugi usiadł obok mnie, położył wydruki na ławce.

- Do Kostnicy - potwierdziłem, żałując, że nie mam możliwości od razu w tej chwili odwiedzić jednookiego.

Gdyby mi się udało odszukać Beniamina, Jan Karłowicz będzie miał względem mnie dług. A to bardzo cenne. Tylko że z pewnością nie namówię Zębacza na taki numer. Musiałbym zresztą zbyt wiele

wyjaśniać. Niech go diabli... - Sanie Sanyczu, nie będzie pan jechał dzisiaj albo jutro gdzieś w stronę Bulwaru Południowego?

- A bo co?

- Chciałbym, przekazać znajomym wiadomość. - Nie wiem, czy to właśnie nasz woźnica mógł przekazać Sielinowi wiadomość, gdzie się zjawimy na obiad, ale na nikogo innego nie mogłem liczyć. Może się uda?

- A jakim to niby znajomym? - Zębacz nastroszył się i poprawił leżący na kolanach AKM - Sopel, ty co, nie masz nic do roboty?

- Niosącym Światło - odpowiedziałem zgodnie z prawdą. Ciekawe, czy Rustam wie o konszachtach Pierowa z sekciarzami, czy nie? Wszystko jedno, sprawdzimy.

- A co, nie wolno?

- Im wolno.

- Jaką wiadomość? - San Sanycz odwrócił się do mnie.

- Niech znajdą tego człowieka i wypytają go o zaginionego sprzedawcę z domu handlowego „Janus”. Powie pan, że Sopel prosi o przysługę w ramach ich zobowiązań.

- Podąłem woźnicy karteczkę z adresem. Dominik nie powinien chyba tak szybko zapomnieć o naszej umowie, w dodatku jeśli rzecz idzie o odszukanie jednego człowieka. Zwykły dotrzymywać słowa, przynajmniej w tym sensie, żeby nie czepiać się drobiazgów.

- Komu przekazać? - Woźnica wsunął karteczkę w lewą rękawicę.

- To jest dla ojca Dominika albo Mściszława, ale dać można komukolwiek...

- Jasna sprawa. - San Sanycz machnął wodzami. - N-no, poszła, kochaniutka!

- Gdzie się pchasz?! - Facet w zimowym płaszczu maskującym, który o mały włos byłby się dostał pod kopyta ruszającego z miejsca konia, chwycił za wodze i pociągnął je na siebie. - Patrz, jak jedziesz, ślepa komendo!

Rustam i Drugi dopiero zaczęli się podrywać, ale szybkość woźnicy była porażająca. W jednej chwili przetoczył się na bok, a wystrzał z obrzyna rzucił na ziemię mężczyznę podnoszącego rękę z pistoletem zakończonym tępym ryjem tłumika. San Sanycz przeturlał się po płytkim śniegu i natychmiast palnął drugi raz. Dopiero wtedy rzuciłem się do tyłu i zeskoczyłem na ziemię. Seria karabinowa wybiła w deskach ławki otwory, a Drugi poszedł w moje ślady.

Rustamowi nie pozostało nic innego, jak osłaniać przeładowującego obrzyn Sana Sanycza.

Przykłęknął na jedno kolano i siał z automatu po strzelcach, którzy urządzili sobie stanowiska w zasypanym śniegiem śmietniku. Na chwilę jego sylwetka zadrżała i od pracującego „Archaniola” poleciała lekka fala wyrzuconej w przestrzeń alchemicznej energii.

Drugiego uniosło i znad burty sań rzucił w stronę śmietnika granat. Gruchnęło, a San Sanycz poderwał się na nogi i rozwalił próbującego wstać rannego napastnika.

Kolejnego, który usiłował ukryć się za kubłem, posiekały odłamki.

- Trzeba by którego przesłuchać. - Zakręcił się na miejscu Rustam, sprawdzając okna najbliższych domów.

- Drugi, sprawdź śmietnik.

- Spadamy, tylko szybko! - San Sanycz wskoczył na kozioł. - Granat wszystkich wykończył.

- To czego się tak śpieszyć? - Drugi splunął na śnieg krwią z przeciętej wargi, z trudem przetoczył się przez burtę pojazdu. - Trzeba poczekać na posterunkowego.

- Ktoś mógł ich osłaniać - wyjaśnił woźnica, ruszając.

- Jakoś nie mam ochoty zarobić kulki w plecy na stare lata.

- A ty czego leżałeś tylko w śniegu? - spytał mnie Rustam.

- A co, miałem z tą pukawką lecieć na karabiny? - Schowałem „Giurzę” do kieszeni. - Wariat jestem, czy jak? Beze mnie też świetnie sobie poradziliście.

- Mieliśmy szczęście. - Zębacz wymienił magazynek.

- Drugi, mocno oberwałś?

- Źle skoczyłem. - Odmieniony uczeplił się burty wozu, kiedy sanie wjechały na Krzywą i zatrząsy wpadając w koleinę. - Prosto mordą na lod.

- Bywa - roześmiał się San Sanycz. - Pamiętam na przykład...

Nie słuchałem dalej woźnicy. Myślałem nad rozbieżnością między jego zwyczajnym zachowaniem, a refleksem, jakim się przed chwilą wykazał. To nie był zwyczajny chłopina, jak mogło się wydawać. Trzeba o tym pamiętać...

Do Kostnicy dotarliśmy po pięciu minutach, omijając sprytnie zmierną na miejsce strzelaniny patrole. San Sanycz wprowadził sanie za ogrodzenie, wysadził nas przy tylnym wejściu i od razu odjechał. Nie zaszedł nawet do środka, żeby się zagrzać. Powiedział tylko, że zajędzie na komisariat i sam załatwi wszystkie formalności. Żeby, znaczy, z Drużyną potem problemów nie było...

Rustam zatrzymał się przed wejściem.

- Jeżeli chcieli nas załatwić, dlaczego nie zaczęli strzelać, kiedy wyszliśmy z restauracji?

- To pytanie nie do mnie. - Drugi splunął krwawo do kosza. - Nic z tego nie rozumiem. To nie twój kumpel ich na nas nasłał, Sopol?

- Gdyby tak było, rozwaliliby nas już w pierogarni.

- Skrzywiłem się. Nie, to na pewno nie robota Sielina. Tym bardziej że poznałem jednego, tego pierwszego z pistoletem. Swolocz zazwyczaj włączył się z ludźmi Tiomy Żylina. A to znaczy, że ktoś zapłacił za zabicie nas. A może to chodzi tylko o mnie? Nie, przecież z taką mordą nie poznałaby mnie własna matka. Może by było warto przekazać drużynom informacje na temat tożsamości tych gnojników? Jest sens? Po pierwsze, niedługo sami do tego dojdą, a po drugie, już tam Żylin na pewno dobrze się zabezpieczył, żeby nie można było powiązać go z tą sprawą. A i „Polanę” - ekskluzywnie zamknięte osiedle - posiada nie tak sobie, musi mieć potężne plecy.

- Ciekawe, co to za konika ma San Sanycz? Nawet nie zastrzygł uchem podczas strzelaniny.

- Jak cię to tak interesuje, jego zapytaj. Albo konia...

- Dobra, na razie. - Drugi pomacał spuchniętą wargę, podał mi wydruki. - Trzymaj, krwią je trochę pobrudziłem.

- Wielkie dzięki! - potrząsnąłem kartkami. - Wiesz, istnieje coś takiego jak chustka do nosa.

- A idź ty! - warknął, otwierając drzwi.

Rustam przyjrzał mi się uważnie, ale zamilczał i poszedł za odmienionym. No i znakomicie. Obrzydli mi już obaj bardziej niż gotowana rzepa. A przecież nie było możliwości uwolnić się w przewidywalnym czasie od ich opieki. Nic to, coś chyba wymyślę...

A co się tyczy napadu... Zębacz zadał dobre pytanie, właściwe. I San Sanycz z jakiegoś powodu tak szybko się stamtąd zmył. Mogło być ubezpieczenie, jak najbardziej. Ale także niewykluczone, że tym ubezpieczeniem byli właśnie okopani w śmietniku strzelcy... Wtedy wychodziłoby na to, że ten facet z pistoletem z tłumikiem miał nas zastrzelić samodzielnie, bez hałasu. Jakie miał szanse powodzenia? Na pewno nie najmniejsze. Gdyby miał w magazynku coś groźniejszego od zwykłych nabożów, a San Sanycz wykazał się gorszym czasem reakcji, wystarczyłoby po kuli na każdego z nas. My z Drugim nic nie zdążylibyśmy zrobić, nawet AKM Zębacza był zabezpieczony. Można zatem powiedzieć, że nam się udało. Ale czy na pewno tak można powiedzieć?

Westchnąłem ciężko, wszedłem do budynku, przycisnąłem się obok przyglądającego mi się przez szybę wartownika i zszedłem na doł. Dyżurujący przy schodach chłopaki nie dręczyli mnie tym razem zbędną biurokracją, bez pytania otworzyli drzwi do części piwnicy, w której znajdował się mój pokój. Wierzchnią odzież rzuciłem prosto na podłogę klitki, a potem z wydrukami zwałiłem się na łóżko. Od czego by tu zacząć? Od dziwnych zgonów czy wyrzutów magicznej energii? Cholera. Część traktująca o wyrzutach była ze cztery razy grubsza!

Odłożyłem ją więc na później. Najpierw zamrożone trupy. Czy zapisy sporządzono według dat? Tak, to świetnie.

- Będzie pan jadł kolację? - Po jakimś czasie zajrzał do mnie jeden ze strażników.

- Nie - odmówiłem i potarłem zmęczone oczy. - Ale herbaty bym się napił. A najlepiej gdybym dostał imbryk z esencją i termos z wrzątkiem. Aha, jeszcze długopis albo ołówek i kartkę do notatek.

- Zaraz zobaczę. - Kiwnął głową, zamknął za sobą drzwi.

Nie zasnąłem od razu, to i dobrze. Ale bez herbaty nie dam rady. Można te informacje całą noc przekopywać i jeszcze na rano zostanie. A mnie, nieprzyzwyczajonego do takiej roboty, zaraz zaczęło morzyć. I strasznie, wręcz okrutnie to było nudne.

Data i miejsce znalezienia trupa. Kto znalazł ciało i w jakich okolicznościach. Obecność albo nieobecność oznak przemocy. Czasem rezultaty dochodzenia, częściej dopisek „sprawa zamknięta”.

A zupełnie rzadko dodatek „Informacja uzupełniająca”, w którym zapisywano spostrzeżenia i wnioski uczestniczących w oględzinach

współpracowników SES i druzynników. Za to wszędzie w nagłówkach widniało: „Kategoria sprawy <<T>>”. Nie wiem, co oznaczała ta litera, ale przypuszczam, że dzięki niej nie musiałem studiować materiałów na temat zamarzniętych włóczęgów.

Wydruki sporządzono drobnym drukiem, taśma drukarki już się cokolwiek zużyła, a końca pracy nie było widać. Gdyby mi nie przynieśli esencji i wrzątku, rzuciłbym to wszystko w diabły i poszedł spać. A tak siedziałem pół nocy. A może nawet dłużej...

Dałem sobie spokój dopiero, kiedy oczy całkiem zaczęły mi się kleić. Nie udało mi się wszystkiego przejrzeć, zapisać sensownych wniosków też. Ale parę ciekawostek wyłapałem. Rano to przemyśle... Rano, wszystko rano...